

Biuletyn Klubu Rasy Dog Niemiecki Łódź, 3/2009

Z pamiętnika podróżnika...

Po długim okresie ignorowania przeze mnie wyjazdów na wystawy pojechaliśmy razem na klub doga niemieckiego we Włoszech. Nie powiem, że zmieniły się zasadniczo moje poglądy na stado wściekłych hodowców biegających wokół ringu, świszających, pierdzących różnymi narzędziami (a może nie tylko ...), mrużących, czasem nawet udających głos kota, machających szmatami, rzucających w górę zabawki, kucających, podskakujących, biegających, chowających się za drzewami, robiących dosłownie wszystko, żeby tylko zwrócić na siebie uwagę swoich podopiecznych (chciałbym napisać „przyjaciół”, ale w którymś z Biuletynów przeczytałem o Panu, który zj...ł doszczętnie psa, za to, że nie wygrał). To znaczy nie zmieniły się, kiedy tam jechaliśmy.

Podróż jest ciekawa sama w sobie, chociaż pewnie hodowcy znają ją na pamięć. Oczywiście nie ta w Polsce, bo tu, mimo starań drogowców, z którymi, mogę powiedzieć, mam coś wspólnego, drogi są po prostu słabe. Za to od granicy z Niemcami – polska kawaleria, lewy pas, cegła na gaz, Red Bull i na wszelki wypadek, różaniec. Szaleństwo kończy się na granicy z Austrią, ale to może i dobrze, bo góry są takie fascynujące, że szybsza jazda z jednoczesnym podziwianiem krajobrazu skończyłaby się dzwonem.

Nocleg w Austrii, wiener schnitzel i piękne widoki w Tyrolu. Polecam miasto Telfs na nocleg – 30 km na zachód od Innsbrucka – tanio i nie ma problemu z noclegiem z psami.

I w końcu Italia! Widoki przy przejeździe przez Brenner pozwoliły mi zupełnie nie myśleć o dziwnych zachowaniach hodowców na wystawie i o tym, że pewnie będą się snuć wkurzony albo znudzony wokół ringu.

Krótką jazdą i jesteśmy w hotelu. Ale jaki to hotel – wyremontowany stary dom wiejski, już od wejścia pachnie elegancją, pokój – marzenie – i to za bardzo przyzwoitą cenę (jak na Włochy). Nie czekając długo, południe już minęło, udaliśmy się, a właściwie najpierw ja, do baru na stonczku, który mieścił się o 20 kroków od naszych drzwi. Ponieważ hotel jest niewielki – kilka, góra kilkanaście pokoi – siedzimy sami. Nie minęła minuta a tu nagle wyskakują nasze psy szczęśliwe, że nas znalazły i zdziwione dlaczego my nie cieszymy się tak samo jak one. Ja oczywiście uznałem, że to Beata nie zamknęła drzwi, więc od razu powiedziałem „czy zwariowałaś?”, ale okazało się przy ponownej próbie zamknięcia psów w pokoju, że natychmiast otwierają je sobie, bo od środka jest klamka, której nauczyły się używać w domu (właściwie to nauczyła się Asia – najmłodsza ze stada) i nie można skutecznie zamknąć drzwi od zewnątrz. Radzę wszystkim ćwiczyć zamykanie drzwi od zewnątrz z jednoczesnym przyciąganiem krzesła, które ma zostać w pokoju po zamknięciu drzwi i nie pozwolić dostać się psu do klamki. Albo ręka albo głowa przycięte drzwiami – gwarantuję.

Zadowoleni z sukcesu poszliśmy coś zjeść. Po dwudziestu minutach Asia zaczęła szczekać w pokoju. Ponieważ hotel był mały a drzwi raczej cienkie, słyszeć ją było jak cholera. Szybki spacer do pokoju, kilka razy „zamknij dziób!” i zaległa cisza. Nie wiercie, że dog jest taki durny, żeby pogodzić się ze swoim losem tak łatwo. Wymyśli coś, żeby powiedzieć Wam, że jest mu przykro nie jeść razem z Wami. Asia w tym celu zeżarła naszą przenośną składnicę lekarstw, w tym piguły na nieszczelność odbytu, która mogłaby się nagle pojawić w podróży. W wyniku tego dupka zatkała się jej na dobre. Naszą złość zniwelowało wypite wcześniej wino (albo 2).

Sobota rano, wstaliśmy późno, przespaliśmy śniadanie, bułka – srułka i cappuccino, więc nie ma czego żałować. Wyszliśmy z psami na spacer, niedaleko hotelu jest wielki plac, na którym prawdopodobnie niedługo powstanie jakiś hipermarket, albo inny obiekt kultu homo sapiens. Fakt, że hotel jest przy samej autostradzie, ale mnie to zupełnie nie przeszkadzało, na terenie hotelu było

po prostu cicho. Kiedy wracaliśmy ze spaceru pojawił się właściciel hotelu i spytał po co tam chodzimy, kiedy przy hotelu jest kilka tysięcy metrów kwadratowych z ogrodzeniem. Byłem bardzo mile zaskoczony, bo trawka wyglądała jakby nikt po niej nie chodził. Właściciel powiedział, że też ma psa i że jest przyzwyczajony do psich „zanieczyszczeń” i że jak się coś „pojawi” to personel posprząta. Ponieważ u nas w domu zbieramy „twarde dowody” to tu robiliśmy to samo, ale świadomość, że robimy to dobrowolnie jest dość miła.

Po południu postanowiliśmy przejechać się na teren wystawy, wiedząc, że to niedaleko. Dobra rada: nie próbujcie znaleźć domku ukrytego w lesie nie znając jego adresu, nie będąc tam wcześniej, nie wiedząc nawet koło jakiego miasta się znajduje. My tak zrobiliśmy i oczywiście po trzech godzinach wróciliśmy do hotelu, licząc na to, że wieczorem pójdzie nam lepiej, bo mieliśmy udać się na uroczystą kolację zorganizowaną przez Sabrina & Co. Nic bardziej błędnego. Wpisaliśmy do GPS współrzędne i jedziemy. W pewnym momencie nawet Beata powiedziała „o, pamiętam to miejsce” (była tu kilka lat wcześniej), ale to było na tyle. Po kilkunastu minutach dojechaliśmy na miejsce – to wskazane przez GPS. Przed nami rzeka, drugi brzeg, na którym stoją łódki – i brak mostu, a ten skurczybyk GPS mówi, że jesteśmy na miejscu, tyle, że chorągiewkę wskazującą cel umieścić na drugim brzegu rzeki o kilkadziesiąt metrów od nas. Godzina rozpoczęcia już minęła, więc się wkurzam i jedziemy z powrotem. Na szczęście w pewnym momencie Beata dostrzega drugie znajome miejsce i już bez większych problemów docieramy na miejsce. Tyle, że tam nikogo (no prawie) jeszcze nie ma. Podobno Włosi tak mają. Godzinę po planowanym rozpoczęciu kolacji siadamy do stołów, pół godziny później podają coś do picia. Podanie frizzante zdecydowanie rozluźniło atmosferę, zaczęły się głośne dyskusje o miłości do dogów. Najciekawsze było to, że Włosi raczej nie rozumieli po angielsku, my i Niemcy nie rozumieliśmy po włosku (oprócz zwrotu „bottiglia e finita” czy jakoś podobnie) ale nikomu to nie przeszkadzało, a gdy padało imię jakiegoś znanego psa (pamiętam „Borre-Athos”) to dopiero była dyskusja, oczywiście każdy w swoim języku. Było pyszne jedzenie i wbrew moim przewidywaniom dość wesoło, chociaż sam nie mogłem „spożywać”. Po 11 wieczorem zaczęły się tańce przy tak zwanej muzyce biesiadnej, uznałem więc, że czas na nas.

No i w końcu wystawa. Niedziela rano, tym razem wjazd na teren odbywał się inną drogą (Tenuta del Boscone to ogromny park i można się zgubić) obcokrajowcy więc trochę błędzili. Jak to u Włochów, miało się zacząć o 10.00 więc zaczęło się o 11.00. Było ciepło, ale nie upalnie, więc jeden z powodów do wkurzenia się zniknął. Wszyscy rozłożyli się z gratami w czymś w rodzaju zagajnika, w którym poustawiano stoły z ławami i stanowiska do grillowania – normalnie, kiedy nie ma wystaw jest to prostu teren piknikowy. Ponieważ nasza suka, Asia, miała prezentować się później ja zostałem kiblować z psami a Beata poszła spotkać się ze znajomymi – ja nie znałem właściwie nikogo, poza kilkoma osobami siedzącymi najbliżej mnie na kolacji poprzedniego dnia. Zainteresowałem się otoczeniem. Niedaleko mnie Włosi rozłożyli coś w rodzaju boksu dla psa, ale nie klatkę, tylko jakby namiot. Ponieważ „toto” ważyło kilka kilogramów, dog zamknięty w tym czymś zaczął po prostu iść przed siebie jak chomik w kołowrotku, oczywiście razem z boksem. Szybko więc go wypuszczono i nie ponawiano eksperymentu. Obok nas rozłożyła się rodzina Włochów. On jak patyczek, a ona – prawdziwa „Mamma” – trzy razy większa od niego. Przyjechali z dziećmi na grilla. Najpierw buchnął metrowy ogień z grilla, bo Mamma chlusnęła podpałką w płynie aż zaśmierdziało w całym lesie. Potem stwierdzili, że świeci na nich słońeczko i przenieśli się o stół dalej, ale dzieci się nie przenieśli (myślę że jedno 3 a drugie 5 lat) i moim zdaniem były zbyt blisko śmierdzącego ognia. Rodzice zainteresowali się nimi dopiero wtedy, kiedy jedno chciało nadziać drugie na wielki widelec i prawie mu się to udało. Zdaje się, że nie bardzo lubili psy. Po kilku godzinach walki z ogniem i zapalającym się tłuszczem Mamma wzięła faceta pod pachę i zniknęli. A wokół jak zwykle – ludzie walczą ze

smyczami, w które zaplątują się ich dogi. Nie będę opowiadał o wystawianych psach, bo się na tym nie znam (jak pokazały wyniki końcowe wystawy), chcę tylko powiedzieć, że mimo iż nie jestem zwolennikiem zbiegowisk ludzkich to atmosfera ogólna wystawy była naprawdę przyjemna. Nie zepsuło jej ani to, że jeden z sędziów, u którego my również się wystawialiśmy, postanowił, że dobre sędziowanie to długie sędziowanie, ani to, że od razu wywalił naszą sukę na koniec stawki. Myślę, że duże znaczenie miało to, że było po prostu luźno, ludzie nie zderzali się tyłkami ani przy ringu ani w żadnym innym miejscu wystawy, nie przychrzaniali się do siebie nawzajem, że ktoś się za blisko ulokował z psem, było po prostu „formidabile”.

Czas na finały. Nie zgadzam się z werdyktem, co pewnie dowodzi, że taki ze mnie znawca psów jak z koziej dupy trąba, ale zafascynowała mnie prowadząca, którą uważałem najpierw za profesjonalną prezenterkę na imprezach (choć nie znam włoskiego) ale potem okazało się, że to Signora Murante, włoska sędzia i działacz tamtejszego związku. Mogłem tylko zorientować się z tonu głosu i gestów, że równo opieprzała swoich rodaków za tzw. double handling, czyli te świsty i popierdy, o których pisałem na początku. Padło też kilka słów pod adresem tych z publiczności, którzy nie chcieli zejść z ringu, mimo, że Pani Murante ich o to poprosiła. Było więc i „porcha miseria” i chyba „per Bacco”, a może nawet „cazzo”, brakowało mi tylko Zdzisława Maklakiewicza z filmu „Giuseppe w Warszawie”, który by krzyknął „sperdolamento makaroniarzu!”. Równie fascynująca jak prowadzenie finałów przez Panią Murante jest radość Włochów z wygranej. Skaczą, piszczą całują się, nie tylko ludzie, psy też, jakby doskonale rozumiały, że to jest właśnie zabawa, a nie walka.

I tyle o wystawie. Polecam wszystkim. Niekoniecznie wszystkie wystawy, na pewno nie te, które jacyś idioci organizują w hali bez wentylacji w środku lata. Z pewnością mogę polecić opisaną wystawę w Tenuta del Boscone, na którą bardzo będę chciał pojechać w przyszłym roku. Chciałem wybrać się jeszcze w tym roku na wystawę organizowaną przez właściciela hodowli „del Castello delle Rocche”. Myślę, że będzie na niej równie fajnie, ale już wiem, że w tym roku nie dam rady. Ogólnie mogę powiedzieć: ludzie, jeżeli kochacie swoje dogi, to pojedźcie z nimi czasem na wystawę, właśnie na taką piknikową, to będzie radość i dla nich i dla Was. Wy spotkacie swoich znajomych, one swoich, może swoje psie siostry, braci albo dzieci.

Ponieważ po wystawie wróciliśmy do naszego hotelu – nie chciało się nam wracać nocą no i chcieliśmy zrobić zakupy spożywcze (czytaj: wino) - na koniec opowiem jeszcze o ostatnich godzinach pobytu i kolacji. Zamknęliśmy oczywiście psy w pokoju i poszliśmy do restauracji hotelowej. Zamówiliśmy wino, dobre jedzenie i spokojnie sobie gadaliśmy. Po godzinie zastanowiło nas, dlaczego nasze psy nie szczekają i od razu pojawiła się myśl – coś zeżarty!. Popędziliśmy do pokoju i co? Asia pogryzła pilota od telewizora. Wziąłem więc obgryzione (trzeba przyznać, że tylko w połowie) urządzenie i poszedłem do recepcji, żeby prosić o dopisanie do rachunku. Recepcjonista, który był również kelnerem w restauracji, zapytał, czy pilot działa. Odpowiedziałem, że tak, ale że jest nieco „broken”. Na to on powiedział, że takie rzeczy się zdarzają i nie ma mowy o żadnym płaceniu, jutro przyniesie mi 2 sprawne piloty – „one for you, one for the dog”.